

Leszek Orłowski

Absolwent Uniwersytetu Łódzkiego

**Walki na przyczółku sandomiersko-baranowskim w 1944 r.
– we wspomnieniach mieszkańców Lisowa**

Były żniwa 1944 r. Skoszono żyto i sporo pszenicy. Na polach snopki zestawione w mendle. Te snopki dojrzałego zboża wzięły wkrótce „żywy” udział w nadciągających wydarzeniach.

Ktoregoś dnia we wsi pojawili się pierwsi obcy ludzie spod Wisły. Uciekali byle dalej od frontu, który tam już się zaczął. Za parę dni z wyższych miejsc we wsi, widać było jakiś nienormalny ruch na szosie za Gołębiowem i słyszać coraz głośniejszy, bliższy, groźny huk dział. Wiadomo było we wsi, że to front idzie i że biją się już na gołębiowskich polach. Następnego dnia do Lisowa dotarły tabory niemieckie. Przez pola uciekali Niemcy przykryci snopkami. Wspomina Józef Stępień: jak się kończą sadłownicze i zaczynają lisowskie pola, w nocy walczone na bagnety. Niemieckie samoloty bombowe leciały na Sandomierz. Tam, na niebie widać było dymki artylerii przeciwlotniczej.

Stanisław Kmiećicki – komendant placówki BCH w Lisowie – pamięta, że pierwsze tabory niemieckie wjechały do wsi 6 sierpnia przed wieczorem, ale w nocy z siódmego na ósmego wycofały się bez śladu. Ósmego sierpnia rano rosyjskie czołgi zapędziły się aż do Gierczyc.

Tego dnia wieczorem pierwsi żołnierze rosyjscy golili się, myli i okopywali się przed domem Kmiećickich. Dziewiątego sierpnia, w środę do dnia, Niemcy kontratakowali a dziesiątego znowu we wsi Rosjanie i ich trzy czołgi. W piątek znowu wojna. Rosjanie kazali mieszkańcom „uchodzić za szosę” w stronę Wisły i mówili, że „tu będzie Stalingrad”. Niemiecka artyleria ustawiona była w Jasicach, Bidzinach, Mierzanowicach Kaliszanach. Lisów i jego mieszkańcy znaleźli się w samym środku frontowych walk. Przerażeni uciekali do piwnic i dołów na ziemniaki. Mało kto zdążył wykopać jaki dodatkowy schron lub dół. Piwnice: dworska, u Grada, Gomuły i Kasińskiego zapchane były ludźmi. Jednego dnia wieczorem do piwnicy u Grada zajrzała niespodziewanie kobieta w rosyjskim mundurze pytając: germaniec jest? Dla pewności sprawdziła wnętrze piwnicy. I poszła. Rano stłoczeni w piwnicy ludzie z przerażeniem słyszeli na drodze znowu język niemiecki. Kule gwizdały tak często, że choć na czas jaki zatykano otwór piwnicy pierzyną aby pociski do środka nie wlatywały.

Kiedy strzelanie trochę ucichło ludzie skradali się do domów złapać coś do jedzenia, krowę wydoić, rzucić zwierzętom cokolwiek do jedzenia. Dziadek mój Stanisław z piwnicy Kasińskich pobiegł wyprowadzić zwierzęta z palących się

zabudowań. Strzelano tak bardzo, że nie mógł dobiec z powrotem do piwnicy. Szukał schronienia w dole ziemniaczanym i tam, przy wejściu dosięgła go kula. Dopiero następnego roku, w maju, brat ojca Stanisław zrobił trumnę i pochowali Dziadka na cmentarzu w Malicach Kościelnych. Józefa Adamczykowa pamięta jak wyszły z piwnicy dworskiej by wydoić krowy. Doiło się czasem na gnój, byle ulżyć zwierzęciu. Patrol rosyjski kazał im uciekać, bo będzie tu straszny ogień”. Złapałam pasyjkę i gromnicę – wspomina i chciałyśmy uciekać. Już nie dało rady i przesiedziałyśmy noc w dole ziemniaczanym.

Do piwnicy dworskiej któregoś popołudnia uciekali chłopcy przed bombardującym samolotem niemieckim. Ostatnim był Zbyszek Adamczyk. Już w wejściu trafił go w plecy odłamek. Żył jeszcze parę godzin. Przenieśli go do drugiej piwnicy, w której było trochę chłodniej. Przyjechała rosyjska sanitarka, ale ratunek nie był już możliwy. Owinęli ciało w firanki i koc. Ojciec pochował go w pobliskim dole, a wejście zatkał tyłkiem od łóżka. Sam przesiedział resztę dnia w chlewiku, bo nie dało się dojść do piwnicy. Tak bili Niemcy. Następnego dnia spaliły się całe ich zabudowania.

Był taki moment, kiedy wszyscy w piwnicy Kasińskiego myśleli, że najeździe na nich czołg. Na szczęście przejechał obok. Wanda Stępień wspomina, że wtedy w piwnicy modlili się aby być gdzieś, gdzie by nie było kul. Jej mąż przekonany jest, że wrony nie jadły trupów bo odleciały ze strachu przed frontem. Teść Wandy – Jan Stępień – zginął na schodach piwnicy Gomuły. Bomba uderzyła na podwórzu; zabiła kobyłę i źrebię a odłamki sięgnęły piwnicy.

Moja rodzina przeżyła pierwsze dni walki w schronie. Tuż za domem, na stromym zboczu pola, ojciec ze swoim stryjem Kazimierzem wykopali obszerny dół, w którym mogło zmieścić się około 10 osób. U góry zrobili wzmocnienie z czterocalowych bali, zwiezionych wcześniej na budowę nowego domu. Straszliwy huk dział od strony Słabuszowic i Gołębiowa. To rosyjska artyleria strzelała na niemieckie pozycje w Sadłowicach i Stodołach. Nad Sadłowicami kłęby dymu. Ojciec wyszedł ze schronu sprawdzić gdzie się pali. Wspiął się kilkanaście kroków wyżej schronu aby objąć wzrokiem Sadłowice. Nagle usłyszał „jargot” nadlatującego pocisku i upadł między radlonki ziemniaków. Pocisk uderzył jakieś 10 metrów od schronu. Ojciec zerwał się i zamierzał biec do schronu. Wtedy zobaczył, że za nim wyszedł niezauważony dwuletni chłopczyk. To byłem ja. W tej samej chwili świst następnego pocisku. Ojciec rzucił mnie w radlonki i przykrył sobą. Odłamek oderwał mu kawałek marynarki. Dym i kurz dostały się do schronu. Tam rozpaczliwie krzyczano – czy żyjemy?

Po kilku dniach Niemcy wypędzili nas ze schronu i sami go zajęli. Mama moja wiele razy przypominała chwilę, kiedy z pięciorgiem dzieci [brat najstarszy miał 16 lat a ja 2] biegła ku wsi pod strasznym gradem kul. Ojca z nami wtedy nie było. Uciekał w kierunku pozycji rosyjskich bo Niemcy zarządzili zbiórkę wszystkich mężczyzn w środku wsi. To opowiadanie niemal zawsze przerywał płacz mamy. Na naszych oczach zginął Józef Rumieński. Przebiegał właśnie

drogę. Nagle upadł i jakiś czas rzucało nim. Tego dnia od bomb rzuconych z samolotu zginęła Stefania Majchrowa. Na rękę trzymała rocznego synka. Po sąsiedzku zginęło kilkumiesięczne dziecko Adama Lisicy a Adamowi pocisk urwał nogę.

Wiesź palila się. Dwór Niemcy podpalili wycofując się dziewiątego sierpnia. Z sześćdziesięciu sześciu zabudowań Lisowa pozostały szkielety tylko trzech domów. Zginęły niemal wszystkie zwierzęta domowe; jedne w ogniu, inne wypuszczone – od kul. Już z drogi na wysiedlenie zawrócił Stanisław Kmiecicki i zajązrał do obory. „Zobaczyłem leżącą krowę. Na mój widok – wspomina – płakała. Miała ustrzeloną nogę”. Prosił żołnierzy o dobicie zwierzęcia.

Żołnierze rosyjscy doradzali natychmiastową ucieczkę, zapowiadając jeszcze cięższe walki. Kazali uciekać w kierunku Studzianek i Pielaszowa. My zboczyliśmy od Studzianek nieco w prawo na Malice Kościelne. Za Studziankami na wzgórzu znaleźliśmy się w takim ogniu, że już chyba nikt nie wierzył w możliwość ratunku.

„Cudem” powiadają Rodzice, dobiegliśmy do pobliskiego [ok..300 m] wąwozu. W ścianie wąwozu Ojciec z najstarszym bratem kopali dół a Mama tymczasem, pod akacją, trzymała mnie śpiącego na jej kolanach. Po liściach świszczwały odłamki. Tam żyliśmy ok. dwóch tygodni z nadzieją, że będzie można wrócić do domu. Następnego dnia nad wąwozem słyhać było przeciągłe: hura, hura. Żołnierze rosyjscy atakowali pozycje niemieckie. Straszna walka wręcz zakończyła się wyparciem Niemców.

Uciekając nie zdołaliśmy nic zabrać ze sobą. Ani jedzenia, ani odzieży, ani sprzętu jakiego. Rosyjscy żołnierze dawali trochę chleba a widząc małe dziecko i łyżkę kaszy zostawili na wiązce słomy przy wejściu do dołu. W jednym z sąsiednich dołów urodził się mój kolega Edek Pietraszewski. Czasem, w stojącym na skraju wąwozu domu Wójtowiczów udało się Mamie ugotować garusu z jabłek lub ziemniaków uzbieranych na pobliskich polach. Jako dwuletnie dziecko najmniej byłem wyrozumiały i ciągle wołałem na Mamę; daj chleba, daj wody. Raz, podczas gotowania, rozpoczął się atak artyleryjski. Żołnierze kazali stawać pod ścianami. Dzięki podpowiedzi doświadczonych żołnierzy Mama wróciła do nas przerażonych i spłakanych. Nie było już nadziei na rychły powrót do domu. Żołnierze kazali nam uciekać dalej. Trafiliśmy do Słabuszowic a potem do Sternalic.

Już ze Sternalic Ojciec wrócił do Lisowa z nadzieją, że znajdzie pierzynę dla dzieci. Zajązrał do piwnicy Grada, tam gdzie przebywaliśmy parę dni po wypędzeniu nas ze schronu. Zastał tam samotnego Sztachere [ok..70 lat]. Błagał Ojca żeby nie zostawiał go samego. „Pan Bóg cię tu zesłał, nie opuszczaj mnie”. Ojciec przyrzekł mu, że wpadnie tylko do domu po pierzynkę i wracając weźmie go ze sobą. Niestety, jakieś 100 m od piwnicy zatrzymali go żołnierze rosyjscy podejrzewając, że idzie w szpiegowskiej misji, bo tę część wsi gdzie był nasz dom zajmowali Niemcy. Żołnierz zaprowadził ojca do dowództwa, które miało

siedzibę w innej części wsi. Szczegółowo sprawdzili jego wyjaśnienia i zwolnili podpowiadając, którędy może najbezpieczniej uciekać. Sztachera znowu został sam. Samotnie próbował ucieczki ze wsi. Widział go ktoś na końcu wsi. Zaginął bez wieści. Podobnie samotnie zginęły Barbachowa i Wasieńska. A dom nasz był już wtedy w zgłiszczach. Ze Sretnalic trzeba było uciekać dalej. Wysiedlenie przeżyliśmy w Gorzyczanach, aż do stycznia następnego roku. Wysiedleńców było wielu; przerażonych, umęczonych, głodnych, nieodzianych. Trudno było znaleźć miejsce dla naszej siedmioosobowej rodziny. Wszy przyłączyły się do nas już w wąwozie w Męczenicach. Mama broniła nas naftą podarowaną życzliwie przez miejscowych. [Może z dziesięć lat później Mama znalazła na mnie wszy przyniesione ze szkoły. Opowiedziała mi wówczas, pierwszy raz o koszmarze wojny i wysiedlenia]. Ojciec przyniósł pierzynkę z bunkra w Malicach. Po drodze znalazł zapaskę i kupił od żołnierzy za bimber buty. Na polach zbieraliśmy trochę grochu i ziemniaków. Mama międlila len, zbierała proso. Jesienią pomagali gospodarzom kopać buraki. Z zarobionych buraków pędzili bimber, za który dostali od żołnierzy parę sztuk bielizny. Z litości nad małymi dziećmi użyczyli też przydziałowego żołnierskiego mydła. Starszym braciom uszyła mama [ręcznie] spodnie z palatki wojskowej a z peleryn wojskowych kurtki i dzieci wyglądały jak żołnierze.

U Surowców – naszych gospodarzy – w pokoju mieszkali rosyjscy oficerowie. Mama, znająca ze szkoły nieźle język rosyjski wysyłała mnie do pokoju oficerów i kazała mówić: zdrastujcie. Dostawałem za to kilka kostek cukru. Z kuchni gospodarzy mama czasem wybierała resztki jedzenia i rozdawała nam. Nauczyliśmy się jeść szybko i skrycie. Rodzina Surowców należała do życzliwych ludzi. Na wigilię wzięli nas do wspólnego stołu, na święta dali kawał salcesonu, a gospodyni pożyczyła Mamie chustkę by mogła pójść do kościoła. Ten wysiedleńczy los dzieliliśmy z innymi rodzinami z Lisowa i innych wsi objętych frontem. Tylko niektórzy znaleźli się po stronie niemieckiej. Danuta Maj z rodziną znalazła się w Kornacicach. Wspomina, że w jednej izbie żyły cztery rodziny. Spało się w kuchni, bez rozbierania, a wszy były w niesamowitych ilościach. Ona była wtedy kilkunastoletnią dziewczynką. W drewniakach poszła poślizgać się na lodzie. Pułkownik niemiecki poszczuł ją dużym psem, którego właśnie tresował. „Ten pies strasznie mnie porozbijał. Odwołał psa jak już byłam prawie bez tchu. Do dzisiaj pamiętam twarz Niemca i jego rudą głowę”. „Mama nie może teraz patrzeć na wojnę w telewizji” – wtrąciła jej córka Barbara.

Po świętach Bożego Narodzenia czuło się, że front będzie ruszał dalej. Dniem i nocą szły transporty na zachód. „Siejczas pojedzieta damoj” informował Ojca „znajomy” oficer rosyjski. Skończył się czas wysiedlenia tylko wracać nie było do czego.

Przyjechał po nas brat Mamy, Józef Leśniak i na resztę zimy zawiózł furmanką do Wojciechowic, ich rodzinnej wsi, przez którą front nie przechodził. Jak tylko mrozy zelżały wróciliśmy do Lisowa.

Tam gdzie był nasz dom leżała kupka popiołu, tylna ściana obory, opalona maszyna do młócenia, zniszczony kierat, drapacz, pług i brony. We wsi znaleźliśmy wolny bunkier. Sąsiednie były zajęte przez Barabaszków i Kiljańskich. Nasz był solidnie – po niemiecku – wykonany i wyposażony. Była kuchenka i pryczka wojskowa, a nawet choinka [pozostałość z minionych świąt]. W tamtych dniach Mama nie miała nadziei, że kiedyś jeszcze będzie mieszkać w normalnym, obłożonym domu.

Pola niezagospodarowane, poprzecinane transzejami, okopami, całe ich pola zaminowane. W samym Lisowie zostało osiem czołgów i jeden samolot. Nim przyszedli „minerzy” ludzie ze wsi sami zdejmowali miny. Józef Stępień rozminowywał nie tylko własne pola ale na prośbę także u Mikołaja Kasińskiego i u Lisa. Samych zapalników zbierał worek. Chełm znaleziony zakładał na głowę i zrywał miny. Chwalił się, że czołgówki pasowały na korytka dla świń. Po tych zaminowanych polach szli z Wojciechowic moi starsi bracia – Stach z Wieśkiem. Zboczyli z drogi zaciekawieni, co też można znaleźć w tych długich okopach. Obejrzeni wyłożone drewnem, wzmocnione stanowiska strzeleckie, taśmy po amunicji, sterty łusek. Parę wzięli do kieszeni i przyszedli z tym do domu nieświadomi, co im groziło.

Od miny zginął Józef Barbach [kiedy szedł po snopki na pole]. Kilka lat po wojnie, kąpiący się w podworskim stawie chłopcy znaleźli granat. Od jego wybuchu zginął Władek Miśkiewicz, poranieni zostali Tadek Barbach i Wiesiek Wołek. Ludzie, całymi dniami, zasypywali okopy. Pamiętam, kiedy Ojciec pozwolił mi bronować, coraz wśród mnóstwa łusek znajdowałem całe naboje. Przez kilka lat jeszcze ziemia nad okopami była innego koloru. Zboże też innym odzieniem znaczyło pozycje wojsk z tamtych dni. Pług, brony i drapacz ponaprawiał kowal i służył do dziś. Na capigach „nurka” u mojego brata Stacha lśnią mosiężne gilzy z amunicji do działek przeciwlotniczych. Przy tym pługu najbardziej lśni odkładnica polerowana ziemią i te gilzy polerowane ludzką ręką.

Za pierwszą pożyczkę z banku w Radomiu [20 tysięcy] rodzice kupili czteroletnią kasztankę i chomąto. Mijał czas.

Trzcina i pałka wodną zarastały „bomby” – doły obszerne i głębokie pozostałe na łąkach po wybuchach bomb. Stalowe kółka powyciągane z czołgów różnie się przydawały. Te gładkie, z ząbkami do wewnątrz, służyły wszystkim dzieciom do „szajby”. Przy pomocy drutu, odpowiednio wygiętego na końcu, popychaliśmy jedno za drugie, kobiety grodziły ogródki przed domami. Z tychże kółek miejscowy kowal porobił ludziom graczki do pielenia buraków i ziemniaków. Do dzisiaj mamy taką graczkę w domu. Poginęły gdzieś piłki do gry, wycinane z ciężkiej, twardej gumy, chyba też wywleczonej z wraków czołgów. Przyjechali potem jacyś ludzie z palnikami, pocięli te wraki czołgów i wywieźli. Trudno nawet teraz ustalić miejsce gdzie te zniszczone czołgi stały. Drzewa – także srodze poranione przez kule i odłamki – jedne uschły, inne zabliźniły rany.

Na zgliszczach lub obok zaczęły pojawiać się pierwsze zabudowania. Zwykle, pod jednym dachem izba mieszkalna i obora, w której krowa, koń, świnie i kury razem się chowały. Sklecone to było z pośledniej jakości drewna, oblepione gliną, przykryte strzechą, na zimę ogacane. Na podłogę brakło i pieniędzy i materiału. Dzisiaj i tych chałup już nie uświadczysz. Stoją w Lisowie domy mieszkalne prawdziwe i zabudowania gospodarskie okazałe. Wielu, tak jak i moi rodzice, trzykrotnie budowało dom. Raz przed wojną, drugi – chałupę po froncie i trzeci raz w jakieś dwadzieścia lat po wojnie.

Pozostała ludzka pamięć o tamtych, strasznych dniach i miesiącach. Ponure obrazy, jak trwałe blizny, pozostają w pamięci na zawsze. Doświadczenie, którego ludzie się nie spodziewali, na które nie zasłużyli.

„Wydaje mi się jakby to było wczoraj”, „widzę to jeszcze dzisiaj bardzo wyraźnie”.

Opowiadający nie zlorzeczą, nie pomstują. Ogarnia ich wzruszenie. Ciągłe tylko pytają: Dlaczego?